

PASKUDNA HISTORIA

Spotkaliśmy się po seansie filmowym. Cała paczka. Andrzej, nigdy nie uczesany, w obcisłych dżinsach, zgrywający Beatlesa. Krystian — idealista chodzący ze szmatką do butów w kieszeni, Marek, przeciętny młodzieniec XX wieku i jedyna dziewczyna, Anita będąca w naszym towarzystwie tylko dzięki magnetofonowi swojego ojca. Wreszcie ja, raz przepadający za Beatlesami raz za Bernardem Ładyszem. Stoimy koło kina i rozmawiamy o pogodzie. Andrzej wyśkakuje z planem: „A może byśmy poszli na wycieczkę, w swoim gronie oczywiście”. Starzym zwyczajem umawiamy się koło Marka o 9.00 rano. Stawili się wszyscy oprócz Krystiana, z wędkami, „wałówkami”, Anita z piłką. Andrzej jak zwykle z gitarą — podrabia Szczepanika. W ostatniej chwili przybiega Krystian z niepomyślną wiadomością: „Za miastem na „strudze” (nasze określenie kanału) remontują kładkę, będziemy musieli obejść dookoła przez miasto. Nie bądźmy frajerami, na kanale jest gruba rura, nie jesteśmy z przedszkola”. A Anita? — odzywa się któryś. „Da sobie radę” — kwituje krótko Andrzej. Wobec tego idziemy, dochodzimy do rury i zaczynamy ją forsować. Pierwszy wchodzi Andrzej, dochodzi do środka i chcąc sprawdzić czy następni ruszają, ogląda się do tyłu; to wystarczyło, by stracić równowagę i wpaść do kanału. Stanęliśmy jak przysrubowani. Widzę Andrzeja. Pryska wodą jak przysłowiowy wieloryb i z prądem wody odpływa od rury, ręce zaplątały mu się w sznur od gitary, nie może płynąć. Jak w le targu słyszę znów plusk wody. Oczom nie wierzę. To Anita. Szybko zbliża się do Andrzeja i po niedługiej akcji w wodzie holuje go do brzegu. Wyszli z wody, za nim Anita, wolno wypłatał się ze sznura i spojrzał na nas. Żeby pokryć zmieszanie mówi: „Nie wiedziałem, że tak dobrze pływasz, Anita”. „O, na pewno gorzej od was — odpowiada — tylko wy mieliście ręce zajęte pakunkami, a ja tylko piłką, więc byłam szybsza...”

Krystian z głupią miną wyciąga szmatkę do butów, Marek bez celu spogląda na zegarek. Anita, bohaterka dnia, wyciera spokojnie twarz chusteczką. Milczenie przerywa Andrzej: „Nie wiedziałem, że jesteście takimi tchórzami — koledzy!” obraca się na pięcie i odchodzi w kierunku miasta. „Paskudna historia” myślę, a głośno mówię „No to co, idziemy do domu?”.

Tadeusz Konieczny



KLUB MŁODYCH AUTORÓW „NA PRZELAJ”

● Któryś z naszych korespondentów proponuje, żebyśmy „zadawali” tematy kandydatom na Młodych Autorów. Może i dobry pomysł? Od czasu do czasu coś Wam więc proponujemy. Dziś prosimy o pracę na temat „Nasi nauczyciele i my”.

● Przypominamy, że prosiliśmy o wspomnienia z praktyk. Nadal nas to interesuje.

● Prosimy wszystkich, żeby mieli litość nad redakcją i pisali wyraźnie. Dziś właśnie komisyjnie wyrzuciliśmy do kosza je-

den list, całkowicie nieczytelny. Być może były w nim niezwykle cenne myśli. Szkoda.

● Przypominamy, że prace można podpisywać pseudonimami, ale trzeba przedstawić się redakcji. Jest to warunek startu do naszego klubu.

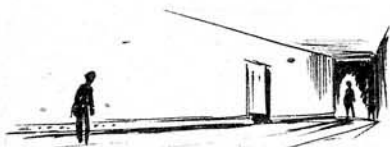
● Niektórzy z Was proponują, aby zamiast honorariów przysyłać Młodym Autorom ciekawe książki z pamiątkowymi dedykacjami. Co o tym sądzicie? Przychylimy się do zdania większości.

„Mam 15 lat, chodzę do L. O. Zazwyczaj pisałem opowiadania, czerpiąc tematy z fantazji. To (jedynie) jest autentyczne”.

POWRÓT TATY

Różne myśli krążyły mu po głowie, gdy siedział na twardej ławce w sądowym korytarzu. Główną wśród nich była myśl o ojcu. Nie widział go od sześciu lat i z trudem tylko, wyteżając pamięć mógł znaleźć w jej zakamarkach obrazy ojca. Z tych strzępów scen i rozmów usiłował wytworzyć sobie jakiś syntetyczny jego wizerunek. Daremnie wysilał się, aby wyobrazić sobie ojca — teraz. Tak bardzo już przyzwyczaił się do jego nieobecności! Uzmysłowanie sobie faktu, że człowiek, którego ma zobaczyć jest jego ojcem, przerastał jego siły. Obrazy ojca, które zachował w pamięci były podobne do siebie; widział ojca, jak w rozwianym płaszczu wbiegał po schodach do mieszkania, lub jak klócił się podniesionym głosem z matką (pamiętał, że w kłótniach tych powtarzało się ciągle „pieniądze, pieniądze” i „piłes”). Jakże wygląda on teraz?

W tej chwili przyszło zastanowienie: jak ma go przyjaść? I jak ojciec jego przyjmie?



Ojciec, którego nie widział od sześciu lat. Nagle w drugim końcu korytarza pojawił się jakiś człowiek. Wysoki, siwy, o twarzy poranej zmarszczkami. Szedł uśmiechnięty, w rękę trzymał teczkę.

Przez głowę jego gwałtownie przebiegła myśl: „To ojciec! Jego ojciec!” Najgorsze w tym wszystkim było to, że nie czuł w tej chwili absolutnie nic, żadnego wzruszenia, nic. Spotkanie z ojcem, którego nie widział od sześciu lat. Powrót taty.

Gdy ojciec ujrzał go, siedzącego na ławce, zawahał się chwilę, ale ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Przeszedł obok, kierując się w stronę adwokata i matki.

Procedura nie przeciągała się długo, bardzo prędko, nawet bez wzywania go na salę, sąd wydał orzeczenie. Zmieniono mu nazwisko, odtąd nosić będzie nazwisko matki. Okazało się, że ojciec przyszedł od razu z gotową decyzją — zgodził się na tę zmianę.

Po chwili zobaczył ich, wychodzących z sali. Oboje, idąc po obu stronach pulchnego adwokata, mieli przyklepione do ust uśmiechy. Nie wiedzieli jak zachować się wobec niego, ich dziecka. Rozumiał ich.

Później nie pamiętał nawet, czy ojciec pocałował go na powitanie. Chyba nie.

Wyszedszy z gmachu sądu poszli na obiad do pobliskiej restauracji. W pamięć wrył mu się pewien szczegół. Kilkunastu mężczyzn, wyglądających na stałych restauracyjnych bywalców, witało się z ojcem. Witani się wylewnie, z radością.

Później umówił się z ojcem na spacer po mieście następnego dnia. Daremnie czekał. Ojciec nie przyszedł.

Taki był powrót taty i jego odejście. Powrót był boleśniejszy od odejścia.

Maciej Karpiński

„Chcę spróbować szczęścia. Mam 16 lat, chodzę do L. O.”

ZŁOŚĆ

Nadchodzi to-to ni stąd ni zowąd. Początkowo jesteś po prostu znudzona. Potem nagle spostrzegasz, że serweta jest zaplamiona. Oczywiście starasz się nie pamiętać kto ją splamił, to przecież nie robi różnicy. Faktem jest, że na serwecie widnieje spora, atramentowa plama. Zdenerwowana, raz po raz zerkasz na nią, intryguje cię po prostu. Wreszcie przykrywając ją byle czym i czujesz się nieco spokojniej. Siadasz do lekcji i to koniecznie wtedy, kiedy stół jest zajęty przez młodsze rodzeństwo.

— Zola, pokas jak sie to robi... — sepleni młodsza siostra, pakując ci pod nos plastelinę, a sama wdrapuje ci się na kolana. Zrzucasz ją niemalże na ziemię warcząc:

— Idź do mamy...

Mała płacze i to ci przynosi lekką ulgę. W pewnym momencie spostrzegasz, że obrazek wisi krzywo... odwracasz oczy, które wciąż jednak zerkają na obrazek.

Wreszcie zrywasz się sycząc:



— Idiotyzm... kretynstwo... — nie wiadomo pod czym adresem. Wchodzi mama i zdenerwowana coś mówi. A ty burczysz:

— Że co? Że ją zrzuciłam? Niech nie lezie...

Wreszcie nie wytrzymujesz: — Dajcie mi wszyscy spokój! Czego wy ode mnie chcecie!

W uszach ci szumi, a usta i język wcale się nie męczą... krzyczysz, że to, że tak, że owo...

Na koniec trzasnąs drzwiami i wybiegasz z domu.

Idziesz, biegnesz ulicą potracając przechodniów. Przypczekasz sobie, że nigdy już nie wrócisz do domu...

...Wieczorem długo płaczesz bez powodu w poduszkę... nienawidzisz życia, świata... tęsknisz do czegoś nieznanego, aż usypiasz. Rano budzisz się z uczuciem niesmaku i zmęczenia.

„Myszkat”

STRZELNICA

Przy strzelnicy tłok był niesamowity. Starsi i malcy stali i patrzyli na strzelanie. Starsi strzelali, a młodzi, którzy nie mieli pieniędzy, dzielnie kibicowali. Cieszyli się z każdego sukcesu. Więcej cieszyli się niż ten, który strzelał. Nieraz padały okrzyki zachwytu i ubolewania przy najmniejszym niepowodzeniu.

Stach chwilę przygląda się w milczeniu jak strzelają drudzy. Potem bierze do ręki wiatrówkę. Strzały do tarczy są nierównomierne, nie ma skupienia. Premiowe strzały są gorsze od próbnych.

Stach na chwilę przestaje strzelać. Zastanawia się: — Strzelać, nie strzelać? Stracę pieniądze i nic z tego nie będę miał.

Ale wiatrówka parzy w ręce:

— Ach, tam. Strzelam. Co będzie to będzie.

Teraz na odmianę strzela do wałków. Nic z tego, za nerwowo. Zerwana wiatrówka i strzał w błachę. A wałki nie chcą zlatywać.

Kiedy wreszcie wszystkie wałki są zestrzelone, wygrana paczka dobrych papierosów podnieca Stacha.

Suma pieniędzy wciąż rośnie, a on strzela, wciąż strzela bez wytchnienia. Wałki przyciągają jak magnes.

— Pach — suche strzały w błachę, podniecenie i podświadoma myśl o stracie pieniędzy przywołuje go do porządku.

Z boku przyglądają się z politowaniem. Stach rzuca wiatrówkę i ucieka ze strzelnicy. Wie, że jak stąd nie pójdzie, straci masę pieniędzy.

Nazajutrz wraca, nie może oprzeć się pokusie. — Pójdę tylko zobaczyć — obiecuje sobie.

Chwilę stoi i patrzy. Ale jakiś zły duch podszeptuje: — Spróbuj, co ci zależy, może wygrasz. Broni się przed tą myślą jak może. Ale nie długo wytrzymuje. Bierze wiatrówkę i bez słowa wskazuje wałki.

Strzela raz. Pięć wałków spada. Ładuje pozostałą wiatrówkę i patrzy na ostatni wałek. Patrzy uważnie jakby wzrokiem chciał go zestrzelić.

Składa się i celuje. Ręka drży. Nie, teraz nie może strzelać. Zdenerwowanie rośnie, teraz

można zmarnować dwa ostatnie strzały. Zapalony papieros niewiele pomaga.

— Wszystko jedno, co będzie to będzie — myśli.

— Pach — wałek trafiony spada do ryjki.

— Ale fajnie — to malcy komentują strzał. Stach jest zadowolony. Strzela bez wytchnienia.

Stos paczek papierosów rośnie. I pieniędzy w kieszeni coraz mniej. Ale strzela. Potem brakuje pieniędzy i Stach z żalem kładzie wiatrówkę.

Jeszcze chwilę patrzy i odchodzi obładowany papierosami. Nie może się wydziwić, czemu stracił tyle pieniędzy na strzelanie.

— Nigdy tu nie wrócę — mówi sobie w duchu.

Jednak duch ryzyka każe iść i znowu sięgnąć po wiatrówkę, aby przeżywać rozkosze emocji i podniecające zdenerwowanie.

— Wygram, czy przegram?

Roman Rychły



SZÓSTA LISTA CZŁONKÓW

26. DE WU z L.
27. Anna Oldak, Warszawa.
28. Roman Rychły, Obrzycko
29. Maciej Karpiński, Warszawa
30. „Myszkat”
31. Tadeusz Konieczny

Uwaga! Ujawnił się Krzysztof „Ryszard” z poprzedniego „Klubu”. Nazywa się Krzysztof Bak, mieszka w Nowym Sączu, Jan Miłoszewski nazywa się naprawdę Miłoszewski. Przepraszamy.

„Jestem uczennicą XI klasy L. O. Zdarzenie, które opisuję miało miejsce kilka dni temu. Do dziś jednak nikt w naszej klasie nie wspomina tej klasówki”.

GLORIA VICTIS

Do klasy, z plikiem zeszytów klasowych pod pachą, wtoczył się „Modern” — polonista, zwany również „Profesorem Inszym”. Cała klasa osłupiała wzrokiem spojrzawszy na siebie. To zaskoczenie nie trwało jednak długo. Wszyscy, jeden przez drugiego zaczęli krzyczeć: „Jak to, klasówka? ...bez zapowiedzi? ...nie zgadzamy się! Uwaga „wiara” — nie piszemy!”

„Modern” zaczerpnął się tylko. Jak zwykle, swym rozciągliwym, wręcz flegmatycznym głosem powiedział: „Proszę rozdać zeszyty. Na tej lekcji będzie klasówka! I wyszedł.

Ledwo za profesorem zamknęły się drzwi w klasie zawrzało.



— „Jak to, nie zgadzamy się. A to go trzepnę!”

Teresa, szeryf klasowy, władczy ruchem poprosiła o głos. — „Uwaga, ogłaszam strajk powszechny. Nie piszemy klasówki!” Ogłoszenie zostało przyjęte z wielkim aplauzem.

Dzwonek na lekcję. Jeszcze ostatnia uwaga — „Siedzimy prosto i nie piszemy!”

Wrócił „Modern”. Był opanowany, jedynie jego oczy wyrażały pewien niepokój. Bez słowa wziął kredę i napisał tematy na tablicy. Potem zagadkowym dla nas ruchem, podwinawszy uprzednio nogę usiadł na krześle. Pomimo iż tego ruchu każdy z nas oczekiwał, to jednak następował on tak szybko, że nigdy nie zdołaliśmy spostrzec jakim sposobem „Prof. Inszy” siadał na krześle. I zawsze zwiślała mu tylko jedna noga.

„Modern” ograniczył się tylko do słów: „Wybrany temat proszę podkreślić. Piszemy”. W klasie zapanowała cisza. Przed każdym na stoliku leżał zamknięty zeszyt, a obok zeszytu pióro. Siedzieliśmy nieruchomo. „Modern” spojrzął na nas, a potem zatopił nos w książce. Spoglądaliśmy na siebie, na nasze głupie miny. Tematy były przecież tak łatwe! Każdy gromadził w myśli materiały na wybrany przez siebie temat, lecz każdy bał się pierwszy chwycić za pióro. Od początku lekcji upłynęło 20 minut. Wzrok każdego z nas wbity był w zeszyt. Już nie oglądaliśmy się wokół. Wśród tej atmosfery napięcia cicho skrzypnęła cyrjaś stalówka. Teraz już każdy chwycił za pióro.

Stalówki cicho skrzypiały... Rozejrzałam się. To „Modern” pierwszy zaczął sobie coś pisać. Zwyciężył!

De Wu

„Nie piszę panegiryku, ale wspominam Nauczyciela, którego już nie ma. Mieszkam w Warszawie, chodzę do X klasy L.O., mam 16 lat”.

SMUTNY DZIEŃ

Dzisiaj był pusty, smutny dzień. Dowiedziałam się o śmierci mojego „Pana od matematyki” — p. Rusina.

Jestem już w X klasie L.O., a jednak ciągle go pamiętam. Nigdy nie myślałam o tym, że człowiek ten może zniknąć z mojego życia. Muszę to napisać. To, że naprawdę go lubiłam, że był pierwszym, który zainteresował mnie matematyką. Zbyt późno zdałam sobie z tego sprawę... Nie zdążyłam mu podziękować. Na pewno będzie mi go brak. Czułam, że bardzo mnie lubił, że pokładał we mnie dużo nadziei. Cieszył się z każdego mojego sukcesu w liceum. Wierzył we mnie. Właśnie; to było najważniejsze — wierzył. Jego wiara mobilizowała mnie często do ostatecznego wysiłku. Gdy zdobywałam kolejne dobre oceny z matematyki, cieszyłam się, że sprawię mu przyjemność.

Nie chciałam, żeby się na mnie zawiódł.

Teraz nie będę mogła iść do niego jak dawniej, poradzić się, porozmawiać. Została zerwana kolejna nitka, która łączyła mnie ze szkołą podstawową, z dzieciństwem.

Zamknęła się furtka, za którą pozostał Nauczyciel. Zamknął się jeden z rozdziałów mojego szkolnego życia.

Anna Oldak

Ps. Napisałam te kilka zdań dlatego, żeby przekonać nauczycieli o naszych uczuciach, które — choć nie zawsze ujawnione — istnieją. Chodzi o to, aby nie wyznać swej wdzięczności za późno.

Anna

